

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/obozy-koncentracyjne/34597,Uratowali-mnie-Polacy-Opowiesc-uciekini-iera-z-obozu-w-Sobiborze.html>

 Kopiec Pamięci na terenie byłego SS-Sonderkommando Sobibor Fot. Wikimedia Commons/Azymut (Rafał M. Socha) - praca własna/CC BY-SA 4.0

WYWIAD

Uratowali mnie Polacy. Opowieść uciekiniera z obozu w Sobiborze

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa

Autor: FILIP BIAŁOWICZ, MACIEJ FOKS 06.03.2019

Filip Białowicz (Philip Bialowitz) (1925-2016) kawaler Krzyża Oficerskiego Orderu Zasługi RP, w 1943 zbiegł z obozu w Sobiborze i do zakończenia wojny ukrywany był na wsi przez rodzinę Mazurków. Po wojnie mieszkał w USA. Opublikował wspomnienia *A Promise at Sobibór* (wyd. pol.: *Bunt w Sobiborze*).

Izbica to Pana rodzinna miejscowość. Jak zapamiętał ją Pan sprzed wojny?

Przed wojną tętniło tu życie społeczności żydowskiej. Podczas wojny do Izbicy przywieziono Żydów z Niemiec, Czechosłowacji i Austrii. Miejscowość nie była w stanie przyjąć tylu ludzi – umierali na tyfus, również lekarze. Niektórzy Żydzi z Niemiec nosili odznaczenia z I wojny światowej. Nic im to nie pomogło. Judenrat dokwaterował nam rodzinę Rosenbergerów. W 1942 roku pod nasz dom podjechał mercedes, z którego wysiadł mężczyzna w mundurze SS. Byłem pewny, że przyjechał nas zabić. Schowałem się. Po wejściu esesman przywitał się z Rosenbergerami jak z rodziną! Zrobili mu kawę. Kiedy poszedł, zapytałem Hertę, jedną z dwóch córek Rosenbergerów, co się tutaj dzieje. „Nie mogę ci powiedzieć, to tajemnica rodzinna” – odrzekła. Dopiero po drugiej wizycie Niemca dowiedziałem się, że esesman jest ich kuzynem – Żydem – i

pracuje w Krasnymstawie. „Na pewno ma dużo Żydów na sumieniu” – powiedziałem. „Nikogo nie zabił. Zajmuje się transportami do Rosji” – odpowiedziała. Przyjechał jeszcze kilka razy, ale w końcu Niemcy dowiedzieli się, że jest Żydem, wyciągnęli go z pociągu w Krakowie i zabili. Nie mógł już pomóc Rosenbergerom, wszyscy pojechali do Sobiboru.

Esesman przywitał się z Rosenbergerami jak z rodziną! Zrobili mu kawę. Dopiero po drugiej wizycie Niemca dowiedziałem się, że jest ich kuzynem – Żydem – i pracuje w Krasnymstawie. Przyjechał jeszcze kilka razy, ale w końcu Niemcy dowiedzieli się, że jest Żydem, wyciągnęli go z pociągu w Krakowie i zabili.

Niewiele brakowało, a Pan sam zginąłby w getcie.

Stałem w grupie rozstrzeliwanych Żydów, padłem jednak na ziemię i udałem, że nie żyję. Moja matka została zastrzelona przez Niemców na cmentarzu w Izbicy.

Kiedy trafił Pan do obozu w Sobiborze?

Razem z bratem, Symchą, dwiema siostrami i siedmioletnią siostrzenicą zostałem tam przywieziony samochodem ciężarowym – w 1943 roku w izbickim getcie zostało tylko kilkaset osób. Wiedzieliśmy, że to jest obóz śmierci. Z jednej strony pomyślałem, że nie będę musiał się więcej męczyć w getcie, bez jedzenia, i umrę tutaj w spokoju. Z drugiej – byłem tylko nastolatkiem i chciałem żyć...

Co działo się po przyjeździe?

Esesman zapytał nas o zawody. Poszukiwano fachowców. Brat wziął mnie za rękę, podszedł do niego i

powiedział, że jest farmaceutą, a ja jego pomocnikiem. Wtedy Symcha dał mi szansę przeżycia. Pożegnaliśmy się z rodziną. Myślę, że nawet moja siedmioletnia siostrzenica wiedziała, że idzie na śmierć. Pracowałem w magazynie, gdzie zajmowałem się sortowaniem rzeczy odebranych Żydom przywożonym do obozu – o wspomnianym przez brata zawodzie farmaceuty nie miałem pojęcia. Przy sortowaniu znalazłem dużo kosztowności, nie chciałem jednak pomagać niemieckiej machinie wojennej – 90 proc. z nich wrzuciłem do toalety. To była moja zemsta. Starłem się ukryć znalezione w rzeczach z Holandii jedzenie, które przynosiłem do baraków i dzieliłem się nim z kolegami.



Filip (Fiszel) Białowicz
(25.11.1929 - 6.8.2016) urodził się w Izbicy. W 1943 roku trafił do obozu zagłady w Sobiborze (SS-Sonderkommando Sobibor). W październiku tego roku zdołał uciec z obozu w czasie powstania więźniów. Po wojnie wyemigrował z Polski. Występował jako świadek na procesach zbrodniarzy wojennych.



Filip Białowicz w młodości

To było ryzykowne...

Pewnego razu przyszedł kolega, Mordechaj, i poprosił o paczkę z jedzeniem. Dostał ją. Po wyjściu zatrzymał go SS-Oberscharführer Karl Frenzel. Wiedziałem, że znajomy zginie. Ukryłem się w toalecie. Usłyszałem przez głośnik swoje nazwisko. Musiałem wrócić. Mordechaj trząsał się ze strachu. Kiedy Frenzel zapytał go, kto mu dał tę paczkę, wiedziałem, że teraz decyduje się również mój los. „Paczkę wziąłem sam” – odpowiedział. Uratował mi życie, poświęcając swoje. Później dowiedziałem się, że przywieźli jego rzeczy do sortowania...

Kiedys podczas sortowania zauważyłem paczkę z napisem „Ratuj moje dziecko”. Zostawiła ją zapewne matka, zanim zabrano ją do komory gazowej. Dziecko w środku płakało. Zawołałem kapo, który zabrał dziecko. Zapewne przekazał esesmanowi w obozie III.

Czy uczestniczył Pan w przyjmowaniu transportów?

Holenderscy Żydzi nie wiedzieli, że idą na śmierć. Przyjechali w wagonach pasażerskich. Otoczenie było ładnie utrzymane, nie było żadnego znaku, że to jest obóz śmierci. Kiedy pomogłem im z bagażem, chcieli mi wręczyć napiwek. Moje serce krwawiło. Wiedziałem, że za pół godziny będzie z nich popiół. Jeden z esesmanów wygłosił do nich przemowę. „Proszę o ciszę, przyjechaliście do miejsca, gdzie będziecie pracować, po wojnie wróćcie do waszego domu” – powiedział. Przeprosił za niewygodną podróż i za to, że nie mogą iść na kwatery odpocząć, ze względów sanitarnych muszą wziąć prysznic, poddać się dezynfekcji. Prosił, żeby zanim się rozbiorą, brali przyszykowane kartki pocztowe i napisali do krewnych w Holandii, że są w przyzwoitym miejscu, bardzo zadowoleni. Niektórzy zaczęli bić brawo. W drodze do komory gazowej strażnik wziął od nich zegarki i pierścionki, dając w zamian fikcyjne numerki, by mogli odebrać cenne przedmioty po prysznicu. Wszystko było dopracowane. Na podwórku już stała druga grupa. Usłyszała takie samo powitalne przemówienie.

Jak Pan zapamiętał strażników ukraińskich?

Byli tacy, którzy przywozili wódkę i kiełbasę, dawaliśmy im w zamian biżuterię znaną w podczas sortowania. Byli też tacy, którzy zachowywali się gorzej od Niemców. Mój brat miał plan, by otruć esesmanów morfiną. Podobny los miał spotkać Ukraińców. W ukraińskiej jadalni pracowała dziewczyna, która o tym wiedziała. Znała ukraińskiego strażnika, który – jak jej się wydawało – był trochę lepszy. Powiedziała mu, by nie przychodził w tym dniu na posiłek. Dowiedział się o tym SS-Oberscharführer Gustav Wagner. Przyszedł do mojego brata. Symcha stwierdził, że wszystkie medykamenty są numerowane, trucizna zatem nie może stąd pochodzić. Wagner chciał go zastrzelić. W tym momencie przyszedł Niemiec, farmaceuta, któremu podlegała apteka. Bał się o swoją skórę. Potwierdził słowa mojego brata i tym samym uratował mu życie.

Wspomniał Pan o Wagnerze - czy kogoś jeszcze z członków załogi szczególnie Pan zapamiętał?

Pamiętam, jak w którąś niedzielę Frenzel wziął nas, młodych chłopców, byśmy pomogli wyładować ludzi z wagonów. Kiedy otworzyliśmy wagony, zobaczyłem... spuchnięte ciała. Druga połowa przybyłych jeszcze żyła, ale oni nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, niemal oszaleli. Zrobiło mi się niedobrze. Kiedy chciałem wyjąć ciało pewnej kobiety – z powodu rozkładu zwłok skóra została mi w rękach – do dziś mi się to śni. Położyłem się na ziemi. „Przyjdzie esesman i mnie zabije, ale i tak nie przeżyję Sobiboru, po co mam przejść taką Syberię?” – pomyślałem. Przyszedł Frenzel. Pobił mnie, a potem... dał mi papierosa, bo rozkładające się ciała cuchnęły. Musiałem dalej wyjmować trupy.

Mazurkowie poświęcili życie, żeby nam pomóc. Zrobili wszystko, żebyśmy przeżyli wojnę. Nie wydali nas. Dotrzymali tajemnicy. Mieli trzech synów, którzy należeli do Armii Krajowej.

Pamiętam też SS-Oberscharführera Huberta Gomerskiego – był jednym z najgorszych bandytów. W 1949 roku zaproszono mnie do Frankfurtu, by go rozpoznać i zeznawać przeciw niemu. Kiedy go zobaczyłem, wziąłem krzesło i chciałem w niego rzucić. „Morderco! Zabiłeś moją całą rodzinę!” – krzychałem. Zatrzymali mnie strażnicy. Powiedzieli, że jak nie będę się dobrze zachowywał, to będę siedział razem z nim.

Czy pamięta Pan próby ucieczki z obozu?

Pamiętam, jak kiedyś uciekli więźniowie z komanda pracującego w lesie. Zebrano nas wówczas na placu niedaleko obozu III, a następnie przyprowadzono tam członków Waldkommando, których udało się złapać (tylko polskich Żydów, ponieważ Holendrzy nie uciekali). Byli pobici tak, że nie można ich było poznać. Przed ich rozstrzelaniem Wagner powiedział, że jak zrobimy to samo, to czeka nas taki sam los.

Scena ta ukazana jest w filmie fabularnym „Ucieczka z Sobiboru”...

W filmie pokazano, że każdy z przeznaczonych do rozstrzelania więźniów został zmuszony do wybrania spośród zebranych na placu osoby, która podzieli jego los. Tak nie było. Protestowałem u producenta, powiedziałem, że to jest fałszowanie historii. Przecież byłem świadkiem, stałem tam. Producent odpowiedział, że dostali znaczną kwotę i muszą mieć dużą oglądalność, a jeżeli nawet tak nie było w Sobiborze, to było gdzie indziej. To była jedyna rzecz, która nie była prawdziwa. Miałem wziąć udział w tym filmie, byłem wówczas za granicą. Jest tam moje i brata nazwisko. Teraz staram się zrobić nowy film na podstawie mojej książki. Chciałbym, żeby wyreżyserował go Roman Polański – jeżeli to robi, dostanie Oscara. Tylko nie może przyjechać do USA...

Kiedy doszło do ucieczki?

Wiedzieliśmy, że nasze dni są policzone, że nas wszystkich zabiją. Obóz otaczały pola minowe, druty kolczaste, wieże, Ukraińcy z cekaemami. Wiedzieliśmy, że mamy małe szanse. Woleliśmy jednak umrzeć od kuli niż od gazu. Mieliśmy nadzieję, że parę osób się wydostanie i opowie, co tutaj się działo. Nikt nie wiedział o Sobiborze. My daliśmy go na mapę. Architektem buntu był syn rabina, Leon Feldhendler, z tym że nie mieliśmy żadnej wiedzy wojskowej, jak plan zrealizować. Przywieziono jednak do obozu transport jeńców sowieckich – Żydów, gdyż tylko Żydzi trafiali do Sobiboru. Niemcy wybrali spośród nich osiemdziesięciu, którzy mieli nam pomagać. I to był ich największy błąd. Gdyby nie sowieccy jeńcy, nie byłoby mnie tu dzisiaj. Feldhendler nawiązał kontakt z por. Saszą Peczerskim.

Esesman przywitał się z Rosenbergerami jak z rodziną! Zrobili mu kawę. Dopiero po drugiej wizycie Niemca dowiedziałem się, że jest ich kuzynem – Żydem – i pracuje w Krasnymstawie. Przyjechał jeszcze kilka razy, ale w końcu Niemcy dowiedzieli się, że jest Żydem, wyciągnęli go z pociągu w Krakowie i zabili.

W plany buntu było wtajemniczonych tylko czterdzieści osób, wśród nich ja z bratem. Zostałem jednym z kilku tzw. łączników. Naszym zadaniem podczas akcji było powiedzieć Niemcom, że znaleźliśmy dla nich wartościowe rzeczy – skórzane buty i płaszcze – i tym sposobem zwabić do magazynów. Tam mieli zostać zlikwidowani nożami i siekierami.

14 października poszliśmy normalnie do pracy. Zwabieni esesmani przychodzili do pomieszczenia pojedynczo. Czekala na nich trójka, w której byli przeważnie jeńcy z siekierkami i nożami. Kiedy esesman, zwabiony przez jednego z chłopców, wszedł włożyć ubranie, czekałem parę minut. Byłem bardzo ciekawy, co się z nim stało. Wchodzę do środka, leży pokrwawiony na podłodze. Jeńcy schowali go pod odzież. Pomyślałem sobie: „To za moją rodzinę i wszystkich, którzy tutaj zginęli. Nieważne, co się stanie później. Zemściliśmy się”. Byłem bardzo zadowolony. Kiedy zwołano nas na apel, Sasza i Leon weszli na stół. Usłyszeliśmy przemówienie.

„Bracia, godzina nasza wybiła. Powstańmy i zniszczmy to miejsce. Większość Niemców jest zabitych. Mamy bardzo małe szanse, by przetrwać, ale przynajmniej będziemy walczyć z honorem. Jeżeli ktoś przeżyje, niech będzie świadkiem i opowiada światu, co było w Sobiborze”.

Więźniowie starali się przedostać przez druty kolczaste. Do dziś mam bliznę na palcu. Zaczęły wybuchać

miny, było jak na froncie

Czy byli więźniowie, którzy nie chcieli uciekać?

Tak, siedzieli na podwórku i modlili się. Dokąd mieli pójść więźniowie z Holandii, Francji, Austrii? Nie znali ani języka, ani okolicy. Niektórzy wyszli z obozu i doszli z powrotem do głównej bramy.

Dotarł Pan do lasu...

Spotkałem brata. Kiedy leżeliśmy ukryci przy drodze do Chełma, obudził nas sygnał przejeżdżających ambulansów, prawdopodobnie transportowały zabitych esesmanów. Czuliśmy satysfakcję. Pewna osoba z naszej grupy miała znajomego w miejscowości niedaleko Izbicy. Poszliśmy do niego. Przygotował nam kryjówkę na górze w stajni. Mieliśmy trochę pieniędzy i złota, mogliśmy mu zapłacić. Pewnego dnia zobaczyliśmy biegnącą z wiader w naszą stronę gospodynię, która krzyczała: „Dzieci, ratujcie się”. Okazuje się, że przyszła po nas grupa cywilów. Gospodarz wydawał ostatnio dużo pieniędzy na wódkę. Być może tym wzbudził podejrzenia. Wypadliśmy ze stajni jeden za drugim. Uciekliśmy. W Polsce nie było tak łatwo przeżyć. Życie uratowała mnie polska rodzina, ale byli i tacy, którzy współpracowali z Niemcami. I byli też ludzie pasywni, którzy tylko patrzyli.

Kiedy chciałem wyjąć ciało pewnej kobiety – z powodu rozkładu zwłok skóra została mi w rękach – do dziś mi się to śni. Położyłem się na ziemi. Przyszedł Frenzel. Pobił mnie, a potem... dał mi papierosa, bo rozkładające się ciała cuchnęły. Musiałem dalej wyjmować trupy.

Później spotkaliśmy mężczyznę, nazywał się Duczy, mieszkał w miejscowości Tarzymiechy. Znał mojego brata. Znalazł nam miejsce u rodziny Mazurków. Zrobiliśmy tam kryjówkę i przebywaliśmy prawie cały rok. Mazurkowie poświęcili życie, żeby nam pomóc. Zrobili wszystko, żebyśmy przeżyli wojnę. Nie wydali nas. Dotrzymali tajemnicy. Mieli trzech synów, którzy należeli do Armii Krajowej.

Jak wyglądała Panów kryjówka?

Była w stajni, miała dwanaście na dwanaście metrów. Mazurkowie dawali nam posiłki dwa, trzy razy dziennie. Dziś jeszcze pamiętam kraszoną zupe, taką białą, z ziemniaków. Przynosili ją w wiadrach, jakby szli doić krowy.

Czy w trakcie ukrywania się u państwa Mazurków zdarzyła się niebezpieczna sytuacja?

Kiedys partyzanci podłożyli ładunek wybuchowy na torach. Przyjechała żandarmeria w poszukiwaniu sprawców. Rodzina Mazurków schroniła się u księdza, uprzednio zostawiwszy nam jedzenie, zostaliśmy sami. Niemcy chodzili nad naszymi głowami. „*Komm raus!*” – słyszeliśmy. Myśleliśmy, że chodzi o nas. Mieliśmy, co prawda, karabinek, ale i tak nie pomógłby nam – wystarczyłby przecież jeden granat wrzucony do środka. Okazało się jednak, że Niemcy nie wołali na nas, lecz na... zająca. Co roku odwiedzam Mazurków, pomagam im. Mazurkowie otrzymali w Yad Vashem medale Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Mają zasadzone drzewko. Przez resztę życia będę im wdzięczny, że zaryzykowali życie, by nas ratować.

Ukrywaliście się do końca wojny?

W lipcu 1944 roku, kiedy weszła Armia Czerwona, wyszliśmy z kryjówki. Pierwszego czy drugiego dnia po wojnie zostałem aresztowany przez polską milicję. Zabrali mnie do UB. Oskarżano mnie, że jestem niemieckim szpiegiem. Kazano okazać dokumenty. „Jak mogę mieć dokumenty? Jestem z Sobiboru” – powiedziałem. Myślałem, że będą mnie wozić od miasta do miasta, bo przeżyłem Sobibór, a zamiast tego po wyzwoleniu trafiłem do piwnicy. Ubecy pobili mnie. Wiedzieli, że jestem Żydem. Rozmawiałem z nimi po polsku – jak mogłem być Niemcem?

Czy spotkał Pan kogoś z byłych więźniów po wojnie?

Spotkaliśmy się w Lublinie w 1944 roku, opowiadaliśmy o przeżyciach po ucieczce. Później rozjechaliśmy się po świecie. Pojechałem do Niemiec. Amerykanie przygotowali tam tzw. *DP camps* – przechodnie obozy dla wszystkich, którzy przeżyli. Stąd wyjeżdżano do rozmaitych krajów – do Izraela (wówczas była jeszcze Palestyna), Ameryki, Kanady, Australii. Przebywałem tam do roku 1950. Miałem jechać do Palestyny. Brat pojechał przede mną, od razu go wzięli do wojska. Pracowałem trochę przy dentystyce. Musiałem skończyć tę pracę i miałem pojechać trochę później. Dostałem list do brata, żebym nie przyjeżdżał, bo jest już w wojsku. Jak przyjadę, obaj zginieemy i nie będzie nazwiska Białowicz. Dlatego pojechałem do Ameryki. Wiele osób pyta

mnie, dlaczego nie przyjechałem do Izraela. Mówię im, że mam tam dobrą reprezentację. Mam córkę, dwanaścioro wnuków, brata, który był ze mną w Sobiborze. Ma teraz 102 lata. Co roku przyjeżdżam do Izraela, mam wykłady dla dyplomatów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, na Uniwersytecie Ben Guriona, do oficerów. Mówią, że jestem *maccabi* (po hebrajsku bojownik) Sobiboru.

Czy był Pan na procesie Frenzla?

Tak, w 1983 roku. Przychodził do sądu ubrany tak, jakby sam był adwokatem. Było go stać na najlepszych prawników. Adwokat Frenzla zaczął mnie wypytywać, jakbym to ja był oskarżonym. „Przyjechałem tu jako świadek. Kto jest tutaj zbrodniarzem?” – zapytał sądu. Do obrońcy powiedziałem: „Jak włożysz mundur esesmana, może ciebie też poznam z profilu”. W przerwie podszedł do mnie. „Panie Filipie, nie jestem esesmanem, mam żydowskich przyjaciół” – powiedział. „Kurt Waldheim, sekretarz ONZ, też miał żydowskich przyjaciół, a służył w Wehrmachcie. Jak rozmawiasz ze mną, musisz to robić delikatnie” – odparłem. Przeprosił mnie. Do Frenzla powiedziałem: „Przyjechałeś do Sobiboru na wakacje? Przyjechałeś, by bić i zabijać ludzi, gazować ich i męczyć”.

Jak skończył się proces?

Został skazany na dożywocie. Były apelacje. Ostatecznie wypuszczono go z więzienia ze względu na stan zdrowia. Umarł w 1996 roku. Czy słyszał pan, co było z Gustavem Wagnerem? Dostał się do Brazylii, pracował tam. Znalezione go. Jego tożsamość potwierdził Stanisław Szmajzner, ocalały z obozu w Sobiborze. O ekstradycję wystąpiły Izrael, RFN, Polska i Austria. Do Polski nie chciano go posłać, gdyż PRL nie była krajem demokratycznym. Gdyby przyjechał tutaj, nie przeżyłby ani jednego dnia, od razu by go zastrzelono. Państwu Izrael odmówiono, ponieważ nie istniało w czasie II wojny światowej. Niemcom powiedziano, że zrobili błąd w dokumentach. Austrii odpowiedziano, że Wagner nie jest obywatelem austriackim. W rezultacie uwolniono go w roku 1979. Rok później znaleziono go zabitego. W prasie pisano, że popełnił samobójstwo. To nieprawda – na zdjęciu było widać, że go zabito nożami. Hubert Gomerski również trochę siedział, później go wypuszczono. Też już nie żyje... Nie wszystkich dosięgła sprawiedliwość.

rozmawiał Maciej Foks

COFNIJ SIĘ